

Tematy tygodnia

- 12 Anna Dąbrowska
Malwina Dziedzic **Czy KOD
włączy drugi bieg**
- 16 **Maciej Lasek**
o najważniejszych
nieprawdach, półprawdach
i manipulacjach filmu
„Smoleńsk”

12



KOD: reaktywacja?

Polityka

- 20 Jacek Żakowski
Węzeł reprivatyzacji
- 22 Juliusz Cwieliuch
Generalska zamrażarka
- 24 Rozmowa z **prof. Michałem
Głowińskim** o „pisomowie”

16



Maciej Lasek o „Smoleńsku”

Społeczeństwo

- 26 Joanna Cieśla
Co Polak robi w niedzielę
- 30 Paweł Walewski
**Absurdy szpitalnych
kosztów**
- 32 Piotr Pytlakowski
**Więzienna wystawa
o Auschwitz**
- 34 Marta Mazuś
**Samozwańczy
kaznodzieja w Syrii**

Rynek

- 36 **Michał Boni** o tym,
co doradziłyby dziś
wicepremierowi
Morawieckiemu
- 39 Joanna Solska
Bankructwo hotelu Ossa
- 42 Cezary Kowanda
**Nieustępliwa komisarz
walczy z korporacjami**

Świat

- 44 Marek Ostrowski **FRANCJA
Wszyscy kontra Marine**
- 47 Ludwika Włodek
**AZJA ŚRODKOWA
Kraje w rękach satrapów**
- 50 Agnieszka Hreczuk **NIEMCY
Polacy za antyimigrancką
partią**
- 52 Marek Rybarczyk
**WIELKA BRYTANIA
Harlow – najgorsze
miejsce do życia**

22



Dymisje u specjalsów

52



Dlaczego Anglicy biją Polaków

Historia

- 54 Tomasz Targański
**Najbardziej wpływowa
kobieta wśród stalinowskiej
elity PRL**
- 57 Piotr Szlanta
Uchodźcy wojenni z Galicji

Nauka

- 62 Sławomir Kosielewski
Sięciowi łowcy danych
- 64 TECHNOECHO
- 66 Paweł Walewski
Drony ratownicze
- 68 NAGRODY NAUKOWE
POLITYKI 2016 – laureaci

Kultura

- 74 Bartek Koziczyński
**Beksińscy wchodzą
do popkultury**
- 78 Zdzisław Pietrasik
Kino z katastrofy
- 80 Piotr Sarzyński
Sztuka na billboardach
- 83 KAWIARNIA LITERACKA
Łukasz Orbitowski
- 84 Rozmowa z **Tadeuszem
Wieleckim**, kompozytorem,
o kolorach Warszawskiej Jesieni
- 87 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

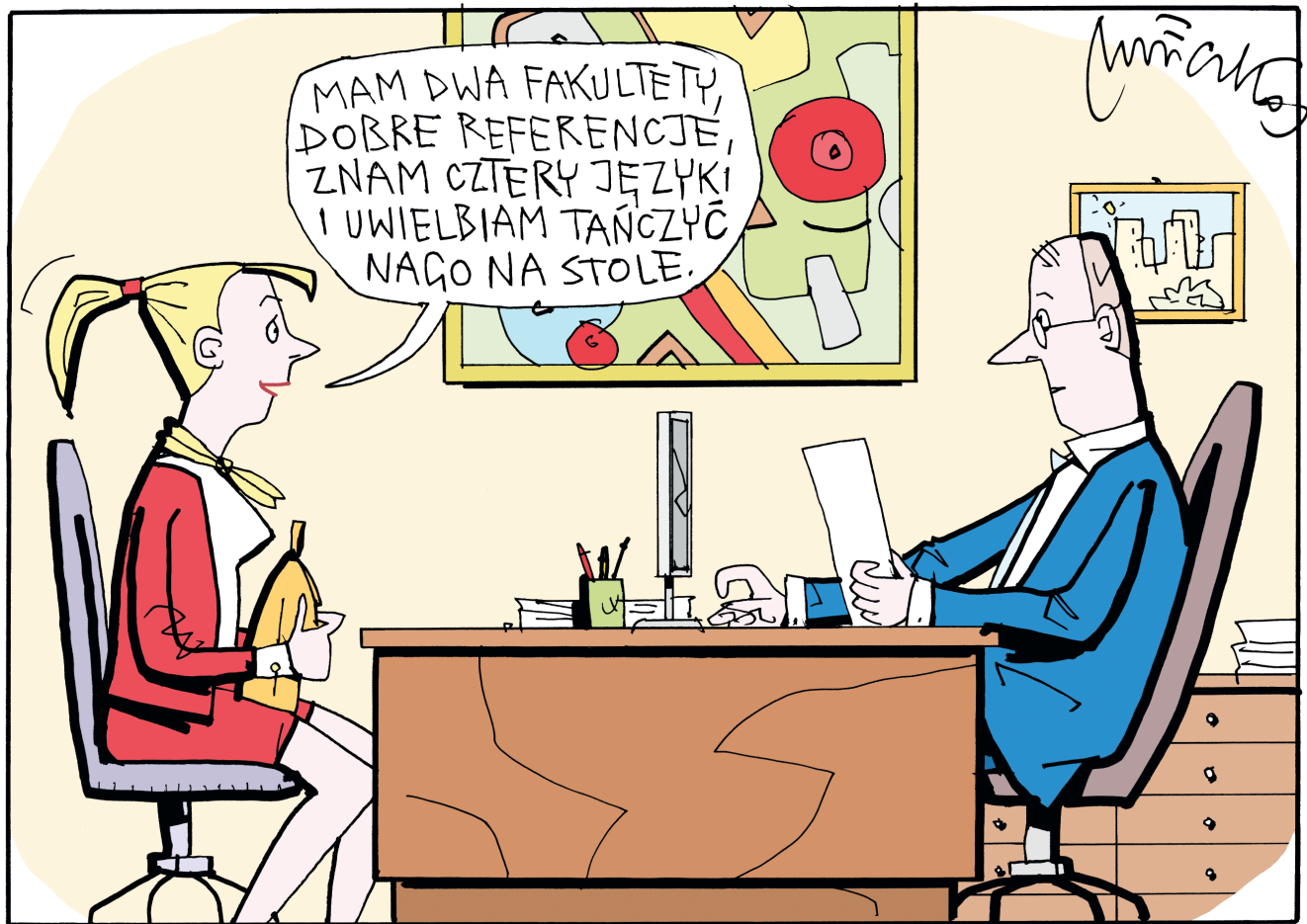
- 88 Urszula Schwarzenberg-Czerna
Korzyści z foliówki
- 92 Marcin Piątek
Bogaty jak PZPN

Na własne oczy

- 100 Aleksandra Lipczak
fotografie Jodie Hilton
Uciekinierzy w hotelu Plaza

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski • 6 Ludzie
i wydarzenia • 70 Afisz • 94 Passent
• 96 Hartman • 98 Do i od redakcji
• 99 Fusy • 106 Polityka i obyczaj



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Szybka lekcja polskiego

Lekkomyślność niektórych osób przechodzi ludzkie pojęcie. Media poinformowały, że pewien Polak, jadąc w Warszawie tramwajem, rozmawiał z kolegą po niemiecku, a potem miał pretensję, że został pobity. Rozżalenie tego Polaka trudno zrozumieć, zwłaszcza że chodzi o historyka, profesora wyższej uczelni, który konsekwencje swoich ryzykownych zachowań powinien umieć przewidzieć.

Zlicznych wystąpień prezesa Kaczyńskiego wiemy, że niemiecki to język obcy, wymierzony w nasze interesy i używany przez tych, których ojcowie i dziadkowie należący do SS mordowali naszych ojców i dziadków należących do AK. Trudno się dziwić, że gdy jeden z pasażerów usłyszał ten język w tramwaju, powziął uzasadnione podejrzenie, że jest obrażany za pomocą mowy nienawiści i w odpowiedzi uderzył z byka. Pobity profesor naiwnie tłumaczy, że mówił po niemiecku, bo kolega profesor, z którym jechał, był Niemcem. OK, z tym że bycie Niemcem to problem tego kolegi, nie nasz. Jak on już tym Niemcem jest, to trudno, ale Polakom jadącym we własnym kraju tramwajem należy się jednak trochę szacuneku. Skoro komuś aż tak bardzo

chce się mówić po niemiecku, może powinien okazać odrobinę kultury i nie pchać się do tramwaju, tylko usiąść w jakimś ustronnym miejscu?

Niektórzy z rozrzewnieniem wspominają czasy, gdy w polskich tramwajach mówiło się po polsku, a niemieckiemu profesorowi nie przyszłoby nawet do głowy, żeby do naszego tramwaju wsiąść. Dziś kulturowe hamulce puściły, triumfuje ideologia multi-kulti i wszędzie jesteśmy narażeni na obce języki, których, niestety, używają także Polacy. A gdy takiemu Polakowi zostaje zwrócona uwaga, żeby wyrażał się po polsku, ten – zamiast zrozumieć swój błąd i przeprosić – doznaje obrażeń i ma pretensje.

Oniestosowności zachowania polskiego profesora i jego niemieckiego kolegi najlepiej świadczy fakt, że żaden ze współpasażerów nie stanął w ich obronie, a motorniczy wyprosił ich z tramwaju. Teraz ważne jest, aby incydent został jak najszybciej wyjaśniony. Najlepiej przez ministrów Waszczykowskiego i Błaszczaka, którzy niedawna wizytą w Londynie pokazali, że doskonale się do tego nadają. Powinni oni jak najszybciej udać się do Berlina, aby od władz niemieckich uzyskać zapewnienie, że incydenty z udziałem obywateli niemieckich rozmawiających w Polsce z Polakami po niemiecku w miejscach publicznych nie powtórzą się. Z tym że ponieważ niemiecki drażni wielu Polaków, uważam, że Niemcy powinni złożyć to zapewnienie po polsku.



KREM O MOCY LASERA? REDUKUJE ZMARSZCZKI, ZAGĘSZCZA, MODELUJE 97% KOBIET Z POLSKI POTWIERDZA SKUTECZNOŚĆ*

PONIEWAŻ JESTEŚ TEGO WARTA.

*Źródło: IPSOS, 2014, badanie CAPI, kobiety 40-59 lat - użytkowniczki kremów przeciwzmarszczkowych (N = 122), ocena formuły „blind” (bez ujawnienia marki produktu) kremu L'Oréal Revitalift Laser X3 po 4 tygodniach używania. **Rekomendowana cena detaliczna. Ostateczną cenę ustala sprzedawca w punkcie sprzedaży.

To mój laser w kremie.

Andie MacDowell

INNOWACJA

REVITALIFT /LASER X3/

*Skóra jest teraz o wiele gładza i jędrniejsza.
Naprawdę warto sięgnąć po ten krem.
Polecam zdecydowanie.*

Monika W.



CENA: **47 PLN****

POTWIERDZONA SKUTECZNOŚĆ

- ZAWIERA OPATENTOWANĄ CZĄSTECZKĘ MŁODOŚCI PRO-XYLANE™ 3%
- DZIAŁANIE KREMU PORÓWNANE W NIEZALEŻNYM BADANIU Z SESJĄ LASERA

POZNAJ OPINIE KOBIET Z POLSKI
NA WWW.LOREALPARIS.PL

L'ORÉAL
SKIN EXPERT/PARIS

Parada prowokatorów



Jerzy Baczyński

W rozmowie z POLITYKĄ (s.24) prof. Michał Głowiński, za czasów PRL badacz partyjne „nowomowy”, zwraca uwagę, że dzisiejsza „pisomowa” jest niemal kalką języka ówczesnej propagandy. Jako jeden z przykładów profesor przytacza specyficzne zastosowanie słowa „prowokacja/prowokator”, którym i wtedy, i teraz władza uzasadniała własną agresję wobec przeciwników. Tym razem prof. Głowiński odniósł się do wypowiedzi premier Szydło, ministra Błaszczaka oraz licznych prawicowych publicystów, którzy bezczelnym prowokatorem nazwali Mateusza Kijowskiego i jego kolegów z KOD, znieważanych, potarganych i wypchniętych z państwowej uroczystości pogrzebu żołnierzy wyklętych. Dla naszego ministra policji było jasne, że oni tam „przyszli w złej intencji”, więc od oenerowskiej gwardii dostali, na co zasłużyli. Jak barwnie spointowała jedna z prawicowych gazet: „Kijowski szuka okazji, aby dostać w mordę”.

I oto nie minęło parę dni, a Jarosław Kaczyński podczas 77. miesięcznicy smoleńskiej osobiście zauważył: „Nasi przeciwnicy mają dziś już tylko jedną broń – tę starą broń komunistów i ich sojuszników – prowokację”. I rzeczywiście: niemal dokładnie w tym czasie pobity został w warszawskim tramwaju wybitny historyk, współpracownik POLITYKI, prof. Jerzy Kochanowski. Za to, że w polskim tramwaju rozmawiał po niemiecku z kolegą, niemieckim profesorem. Czyli – prowokował. Szef dużego prawnicowego portalu od razu skomentował: „po tym, co Niemcy zrobili w Warszawie, fakt, że dopiero teraz ktoś dostał w twarz za mówienie po niemiecku, bardzo dobrze świadczy o Polakach”. No, faktycznie, bo dopiero teraz nadszedł czas odpłaty. Nie trzeba od razu napastnika zapisywać do PiS, ale jak przytomnie, po założeniu na głowę szwów, zauważył prof. Kochanowski: „mamy do czynienia z ludową agresją wobec obcych. Z wyraźnym przyzwoleniem z zewnątrz. Mężczyzna, który mnie zaatakował, na pewno nie miał doświadczeń z drugiej wojny światowej, ale jego zachowanie mogło brać się z tej wiążącej w powietrzu nacjonalistycznej atmosfery”.

W ubiegłym tygodniu ministrowie Waszczykowski i Błaszczak polecili do Londynu, aby osobiście i w imieniu rządu RP wyrazić oburzenie wobec rządu brytyjskiego z powodu śmiertelnego pobicia polskiego imigranta w miasteczku Harlow. Nawet jeśli to zdarzenie miało charakter chuligański, a nie rasistowski, mnożstwo relacji z Wysp potwierdza dramatyczny wzrost nastrojów i incydentów antyimigranckich. Dla napastników imigranci to, jak wypisywano na ścianach, zwyczajne szumowiny, prowokujące językiem, wyglądem, obecnością. Przedstawiciele polskiego rządu wzywający Brytyjczyków do gościnności wobec imigrantów i zwalczania ksenofobii, to, gdyby nie tragiczne okoliczności, naprawdę pocieszny obraz. Właśnie przeczytałibyśmy, że w warszawskim metrze jakiś kolejniak z hasłem „wyp... stąd” na ustach zaatakował dwie Azjatki. Zapewne sprowokowały go chustami. Nie zdziwiłbym się, gdyby w takich i następnych przypadkach policja państwa i prokuratura nie wykazywały szczególnej gorliwości śledczej, bo sygnał ze strony zwierzchników, od ministra po prezydenta, jest jasny: zarówno narodowcy, broniący Polski przed inwazją obcych, jak i „środowiska kibicowskie” w koszulkach z żołnierzami wyklętymi są ostoją patriotyzmu; co najwyżej czasem dają się sprowokować.

O fiarą prowokacji, w prawdziwie postkomunistycznym stylu, stał się ostatnio sam wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki. Otóż sąd orzekł, że poseł-minister może odpowiadać w procesie cywilnym za publiczne pomówienie posła opozycji, iż ten jest suterem i prowadzi agencję towarzyską. Minister Jaki, powołując się na immunitet poselski, procesu sobie nie życzył, więc zbeszał sąd i zagroził surowymi sankcjami dyscyplinarnymi. Wsparł go w tym oburzeniu sam minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, który właśnie przygotowuje wielką reformę sądownictwa, mającą, jak wynika z zapowiedzi, ukrócić samowolę sędziowską i wydawanie niesprawiedliwych wyroków. Sam Jarosław Kaczyński przyznał, że w zachowaniu posła Jakiego przed sądem była „pewna niezręczność”, bo jest on wiceministrem sprawiedliwości, ale sędzia, „naruszając prawo”, jednak sprowokowała całą sytuację. Podobnie jak Patryk Jaki zaatakowany został inny pisowski polityk młodego pokolenia, rzecznik MON i bliski współpracownik Antoniego Macierewicza, Bartłomiej Misiewicz. Opozycja uznała powołanie 26-letniego studenta do rady nadzorczej Polskiej Grupy Zbrojeniowej za naruszenie prawa, co PiS uznał za hucpę i zaczepkę.

Świat wokół władzy jest, niestety, pełen prowokatorów: KOD, sędziowie, artyści (zwłaszcza teatralni, którzy się sami proszą); recenzenci filmu „Smoleńsk”; ci, którzy sztydzą z czytania apelu smoleńskiego przy okazji rocznicy odsieczy wiedeńskiej; wciąż judząca Komisja Wenecka; Unia Europejska wcinająca się w nie swoje sprawy; polskojęzyczne media; tzw. uchodźcy, którzy prowokują nawet swoją nieobecnością, i inni (znów cytując prezesa) „zarzucający wokół partii swe brudne sieci”. Cóż, oni wszyscy szukają okazji, aby dostać w to, w co dostał prof. Kochanowski i ma dostać Kijowski.

Jan Koza



© JAN KOZA

Krynica mądrości

Co skłania trzy tysiące osób z Warszawy, by jechać siedem godzin do Krynicy-Zdrój?

Oficjalnie przyjeżdżają na Forum Ekonomiczne, ale tak naprawdę na prywatne rozmowy – w tym roku głównie o polityce, która ma coraz większy wpływ na gospodarkę. Krynica pozostaje główną imprezą towarzyszącą polskiego biznesu – suto zakrapiane przyjęcia firmowe są dla większości uczestników ważniejsze niż 150 debat w oficjalnym programie.

Rok temu organizatorzy Krynicy wykończyli gwałtowny zwrot w stronę przyszłej władzy, nadając Jarosławowi Kaczyńskiemu tytuł Człowieka Roku. Tegoroczne Forum było już w pełni sprzężone z rządem PiS i podległymi mu spółkami. Poczynając od tematów paneli, wśród których królowały wątki etatyżmu i patriotyzmu gospodarczego, poprzez dobór mówców z preferencją dla ministrów, szefów spółek skarbu i agend rządowych, aż po zaproszone media – w roli moderatorów brylowali prawnicy publicyści.

Na rozkaz ministra skarbu spółki państwowe wystawiły w Krynicy wspólny pawilon pod sztandarem Polskiej Fundacji Narodowej. Minister skarbu Dawid Jackiewicz przechadzał się z dumą między stoiskami i musztrował prezesów przed oficjelałami z PiS. Wśród „odnowionych” kadr dawało się wyczuć dreszczyk ekscytacji nowo objętymi stanowiskami i czołobitną uległość wobec decydentów z PiS – ministrów



© ARTUR BARBÓWSKI/EAST NEWS

przyciągali tłumy akolitów, jakby uścisk dłoni mógł zapewnić awans lub przedłużyć umowę o pracę.

Od Jackiewicza mniej zadowolony był Mateusz Morawiecki. Wicepremier biegał od dyskusji panelowej do wywiadu, za każdym razem próbując powiedzieć coś nowego na ten sam temat, czyli Strategii Odpowiedzialnego Rozwoju i wsparcia eksportowego dla firm. Gdy pod wieczór pierwszego dnia wchodził do pawilonu Polskiego Funduszu Rozwoju, sprawiał wrażenie człowieka, który wdrapuje się na stromą górę. Plan Morawieckiego zaczyna budzić negatywne reakcje – nawet w PiS słychać głosy, że wicepremier dużo mówi, ale dla gospodarki za mało z tego wynika.

Beata Szydło, w ubiegłym roku łatwo dostępna kandydatka na premiera, tym razem spacerowała po Krynicy w asy-

ście 20 oficerów BOR i równie liczną świtą. W namiocie Google'a, w inscenizowanej rozmowie, wysłuchała start-upów i obiecała, że Polska będzie lepsza od Wielkiej Brytanii oraz że Nobla z fizyki dostaniemy, bo najwycyżnijnej w świecie Polsce się należy. Mimo premierowskiej asysty w Krynicy było jasne, kto jest najważniejszy – Jarosław Kaczyński przyćmił pierwszego dnia nawet premierów Grupy Wyszehradzkiej, może z wyjątkiem **Viktora Orbána**. Premier Węgier był w świetnej formie. Jeszcze zanim odebrał nagrodę Człowieka Roku, oddał hołd poprzedniemu laureatowi: „Szacunek i uznanie z mojej strony promieniają w stronę prezesa Kaczyńskiego”. Rozmowa, którą prowadzący Michał Karnowski zapowiedział jako „debatę tytanów europejskiej polityki”, wywołała duże poruszenie. Premier Węgier przekonywał, że Brexit powinien być impulsem do kulturowej kontrewolucji w Unii – Polacy i Węgrzy mieliby pokazać reszcie Europy, jak odbudować naradowe tożsamości w obliczu rosnącej imigracji.

Dla bezkrytycznego uczestnika Forum Ekonomicznego sytuacja Polski musi rysować się w najjaśniejszych z barw. To kraj wielki i silny, rządzony przez mądrych i odważnych polityków, którzy na przekór stetryczalej Europie znaleźli klucz do przyszłości i dostatku. Globalne czempiony narodowe wraz z prężnymi start-upami nie tylko podtrzymują wzrost gospodarczy, ale też sprawiają, że 2 mln Polaków wrócą z Anglii, bo w Polsce będzie im po prostu lepiej niż na Wyspach. A premier Szydło podzieli się Noblem z fizyki z Kaczyńskim i Orbánem. Bo im się należy. (ZD)

KOMENTARZ

Nelson z tabletu



Piotr Sarzyński

Kolejną ofiarą „dobrej zmiany” w kulturze padł Paweł Potoroczyn, szef Instytutu Adama Mickiewicza. Placówką kierował przez osiem lat, czyli tyle, ile wszyscy jego poprzednicy (a uzbierało się ich siedmiu) razem wzięci. Był uważany za dobrego promotora polskiej kultury w świecie. Bez wątplenia wzmocnił rangę Instytutu, sprofesjonalizował eksport kultury, zbudował silny zespół fachowców, stworzył gęstą

sieć współpracujących instytucji w różnych krajach. Za jego czasów polska kultura zaczęła docierać coraz dalej w świat. Wielkim sukcesem zakończył się sezon polski w Chinach, mocno zaznaczyliśmy swą obecność w Brazylii, Korei, Japonii. Potoroczyn odważnie postawił na promocję designu, traktując go na równi z teatrem, muzyką czy sztukami wizualnymi.

Niektórzy mieli mu za złe, że wyraźnie preferuje promocję współczesnej, awangardowej twórczości kosztem naszego historycznego dorobku. Przyjął też zasadę, że pokazujemy przede wszystkim to, co się podoba naszym partnerom w świecie, a nie to, co sami uznamy za godne promowania. Zapewniało to dużo większe sukcesy medialne i frekwencyjne za granicą, ale w kraju uważane było przez niektórych za zbyt defensywne i z pewnością stało się solą w oku mającego inne preferencje estetyczne PiS.

Rodzi się oczywiście pytanie, co z tą spuścizną zrobi jego następca Krzysztof Olendzki, przechodzący do IAM, podobnie jak niegdyś Potoroczyn, z dyplomacji. Czy zadowolony będzie jedynie delikatną zmianą kursu, którym dotychczas płynął ów transatlantyk z kulturą? Tak by zadowolili swoich politycznych protektorów wrzutką tego, co „narodowe” w formie i treści? Czy może zdecyduje się na gwałtowny zwrot przez burtę i rewolucję programowo-kadrową. A tego statek raczej nie przetrwa i pójdzie na dno z całym swoim dorobkiem, jak to już się dzieje z Instytutem Książki i jak zaczyna się dziać z Teatrem Polskim we Wrocławiu czy Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. A trzeba pamiętać, że lada chwila można się spodziewać kolejnych abordażi, m.in. na flagowiec – Narodowy Instytut Audiowizualny. Cóż, Anglicy mają Nelsona spod Trafalgaru, my – z tabletu.



Koniec wakacji!

Wrzesień miesiącem reprivatyzacji. Niczym jesienne liście spadają głowy w ratuszu. Pani prezydent broni się raz lepiej, raz gorzej, ale jej sytuacja – choć nie widać powodu, aby zakwestionować jej osobistą uczciwość – nie jest łatwa.

Z kolei PiS jakiś stonowany, co nie dziwi, bo dwaj główni dyrektorzy od nieruchomości to ludzie Lecha Kaczyńskiego. PO czeka na wyniki dochodzeń prokuratorskich, problem jednak w tym, że to już nie jest niezależna prokuratura. W 2007 r. Zbigniew Ziobro „wykrył” rzekomy „układ warszawski”. Po ośmiu (!) latach wszyscy oskarżeni zostali uniewinnieni. A przecież dziś, uzbrojony w nową ustawę, minister Ziobro może być jeszcze bardziej „skuteczny”. Uciekając do przodu, Platforma złożyła w Sejmie projekt ustawy reprivatyzacyjnej. Poprzednie upadały z różnych przyczyn, ale zawsze ważnym argumentem były ogromne koszty dla budżetu państwa. Rozwiązaniem byłoby radykalne ograniczenie zarówno zwrotów w naturze, jak i wysokości odszkodowań. Obawiano się jednak zarówno opinii publicznej, w znaczącym stopniu popierającej konieczność „naprawienia krzywd” i zwrócenia „co zagrabione”, jak i Trybunału Konstytucyjnego, który niepełne rekompensaty mógł uznać za niekonstytucyjne.

Dziś, w ciągu kilkunastu dni, sytuacja istotnie się zmieniła. Uzasadnione często pretensje do przebiegu reprivatyzacji w Warszawie (tolerowanego, dodajmy, przez wszystkie rządzące dotychczas stolicą i krajem ekipy polityczne) sprawiły, że powstało przyzwolenie społeczne na silne zredukowanie realizacji roszczeń. Jednocześnie Trybunał Konstytucyjny – uznając tzw. małą ustawę reprivatyzacyjną za zgodną z konstytucją – w uzasadnieniu po raz pierwszy zawarł wyraźny sygnał, że takie radykalne rozwiązanie może zaakceptować. Powstały zatem warunki, aby projekt PO potraktować serio. Wprawdzie PiS, który szybciej od PO zwiększa dług publiczny – według metodologii unijnej dług w 2017 r. zbliżył się do 55-proc. progu ostrożnościowego – może obawiać się, że wypuszczenie obligacji reprivatyzacyjnych spowoduje przekroczenie progu, ale byłby to szczególnie przypadkiem i istnieje uzasadnienie, aby wartość tych obligacji z tego rachunku wyłączyć.

W bitewnym zgiełku wzajemnych oskarżeń utonęła, niestety, wspomniana tzw. mała ustawa reprivatyzacyjna, która po raz pierwszy powiedziała stanowcze „nie” większości patologii w tej sferze. Jako współinicjator i senacki sprawozdawca tej ustawy upierałem się, że jej przepisy są zgodne z konstytucją – nie dlatego, iżby nie naruszały czyichś interesów (bo naruszały!), ale dlatego, że ich brak narusza z kolei interes dziesiątków tysięcy mieszkańców stolicy. To Trybunał powinien zważyć, które są ważniejsze. I tak się stało. Szkoda tylko, że prezydent Komorowski, zamiast podpisać ustawę i potem skierować ją do TK, postąpił odwrotnie. Wiele spraw byłoby już do dzisiaj załatwionych.

Wrzesień to także pierwszy miesiąc obowiązywania podatku od handlu. Trudno o bardziej bezsensowny podatek. Według ministrów Kowalczyka i Szałamachy ma on wyrównywać warunki konkurencji między zagranicznymi hipermarketami a rodzimymi sklepami. Porównałem ceny kilkudziesięciu identycznych

artykułów żywnościowych i AGD w dużych sieciach i osiedlowych sklepach. Za darmo informuję obu panów, że te artykuły są średnio o 17,1 proc. tańsze w dużych sieciach. W jaki zatem sposób podatek w wysokości 1,4 proc. miałby zwiększyć szanse małych firm? – nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że zapłacą go klienci i dostawcy. Zamiast robić „maluchom” wodę z mózgu i dąć w patriotyczną trąbkę, trzeba było uczciwie powiedzieć, że rząd potrzebuje pieniędzy i wszyscy muszą się złożyć. No, ale może za dużo wymagam...

Milczenie jest złotem. Cóż, kiedy niektórzy z naszych ministrów zdecydowanie wolą srebro, racząc nas prawie codziennie rezultatami swoich przemyśleń. Czasami odnosi się wrażenie, że ścigają się wręcz w wypowiedaniu nieprawd, obelg, insynuacji i zwykłych głupstw. Niewątpliwym liderem jest Antoni Macierewicz. Właśnie obiecał, że niedługo poznamy nowe, „wstrząsające” (to chyba jednak trochę mniej niż „porażające”?) rewelacje na temat katastrofy smoleńskiej. Pytanie, co – po helu, sztucznej mgle, rakiecie i wybuchającej gaśnicy – mogłoby jeszcze nami wstrząsnąć?

Na drugie miejsce za Macierewiczem zdecydowanie wysuwa się minister Błaszczak. Polityk ten nie kręci i nie ściemnia, co pomyśli, to zaraz powie. I nie są to wypowiedzi banalne. Ze śmiertelną powagą mówi głupstwa, podlewając je pseudofilozoficznym sosem. Jego wnikliwe rozważania na temat wpływu multi-kulti na losy świata, krytyczna analiza niszczących skutków poprawności politycznej czy dobre rady dla Angeli Merkel i brytyjskich sądów robią naprawdę duże wrażenie. Niestety, ostatnio ten subtelny badacz idei zdecydowanie obniżył loty, wyzywając sympatyków KOD od „zwolenników Bieruta”. Za rogiem czają się już porównania do Stalina i Hitlera (gestapo już było). W ten sposób chamstwo właśnie wyszło z Sejmu, gdzie stało się chlebem powszednim, i trafiło na salony rządowe, nabierając charakteru oficjalnego.

Przez Polskę przeszła elektryzująca wiadomość: prezydent Andrzej Duda podał rękę legendarnemu przywódcy Solidarności Lechowi Wałęsie! Jeszcze parę lat temu newsem było, jeśli ktoś komuś ręki nie podał. Dziś newsem jest – gdy podał. Dobra zmiana.

Marek Borowski – polityk, ekonomista, marszałek Sejmu IV kadencji. Od 2011 r. zasiada w Senacie (niezrzeszony), wcześniej był posłem (I–IV i VI kadencji). Pełnił funkcje: wiceministra rynku wewnętrznego w rządach Tadeusza Mazowieckiego oraz Jana Krzysztofa Bieleckiego, wicepremiera i ministra finansów w gabinecie Waldemara Pawlaka, a także ministra-szefa URM w rządzie Józefa Oleksego. Współtworzył SoDR. Jako pierwszy zaproponował przekształcenie koalicji SLD w partię, której później był członkiem i wiceprzewodniczącym. Z Sojuszem rozstał się w 2004 r. Wraz z grupą polityków lewicy założył SDPL – z kierowania partią zrezygnował cztery lata później. W 2005 r. kandydował na prezydenta RP (zajął czwarte miejsce), a rok później – na prezydenta Warszawy (trzecie miejsce).



© Inter IKEA Systems B.V. 2016

Dla wszystkich, którzy chcą żyć po swojemu

Więcej inspiracji znajdziesz w Nowym katalogu IKEA® i na IKEA.pl





Szczyt bez Brytyjczyków

Szczyt w Bratysławie (16 września) będzie pierwszym spotkaniem całej Unii, które zwołano po Brexicie. No może niecałej, bo już bez Brytyjczyków. Tematy rozmów to walka z terroryzmem, bezpieczeństwo, łagodzenie kryzysu migracyjnego, walka z bezrobociem wśród młodych. Tematy szczególnie drażliwe, jak choćby zmiana unijnych traktatów, silniejsza pozycja stolic wobec instytucji wspólnotowych i zwiększenie roli parlamentów narodowych, o którym wspominają kraje Europy Środkowo-Wschodniej, czy rozluźnienie reguł fiskalnych obowiązujących dziś kraje strefy euro, którego domagają się kraje Południa, zostaną w kuluarach. Tym bardziej że dyskusję o przyszłości Unii utrudniają przyszłoroczne wybory we Francji oraz w Niemczech – dziś bardzo trudno jest przewidzieć ich ostateczne wyniki.

Brak zgody w Unii widać na każdym kroku. W dzień po ogłoszeniu wyników brytyjskiego referendum spotkała się szóstka unijnych założycieli, ministrowie spraw zagranicznych Francji, Niemiec, Holandii, Włoch, Belgii i Luksemburga. Kilka dni później w Pradze rozmawiali szefowie dyplomacji Czech, Polski, Słowacji i Węgier oraz na doczepkę minister spraw zagranicznych Niemiec. Po drodze odbyły się też dwa spotkania Wielkiej Trójki, czyli Francji, Niemiec i Włoch (które po Brexicie mocno się starają, żeby zająć miejsce po Brytyjczykach wśród głównych unijnych graczy), a w niedawnym szczycie państw południowoeuropejskich – Grecji, Cypru, Hiszpanii, Portugalii, Włoch i Malty – wziął udział również prezydent Francji François Hollande. I choć uczestnicy każdego z tych spotkań deklarują, że zależy im na spójności i harmonii Unii, to atmosfera jest coraz bardziej napięta. Coraz ostrzej widać, że Unii nie wystarczy dzisiaj tylko poprawienie makijażu, że przydałaby się jej może nawet jakaś lekka operacja plastyczna, ale nie ma zgody, co do tego jaka, i istnieje też niebezpieczeństwo, że jak ruszy się jedną rzeczą, inne przestaną już pasować.

Próba zawieszenia broni

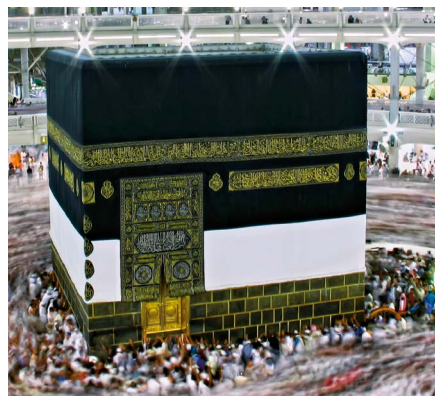
Mocarstwa wynegocjowały zawieszenie broni w Syrii, tyle że miejscowe ugrupowania mogą się do niego nie zastosować.

W poniedziałek, w dniu rozpoczęcia najważniejszego muzułmańskiego święta ofiarowania Id al-Adha, wszedł w życie zawarty między Stanami Zjednoczonymi a Rosją plan zawieszenia broni w Syrii. Porozumienie zakłada zaprzestanie wszelkich walk na terenie kraju, dostarczenie pomocy humanitarnej do oblężonych miejsc, głównie **Aleppo**, oraz wycofanie ciężkiego sprzętu z drogi Castello – jedynego korytarza zaopatrującego opanowane przez przeciwników Asada wschodnie części Aleppo. Jeśli rozejm utrzyma się przez tydzień, Rosjanie i Amerykanie zamierzają wspólnie koordynować naloty na obszary kontrolowane przez tzw. Państwo Islamskie i Front Al-Nusra – co jest nowością i zdecydowanie odróżnia ten plan od poprzednich. Rządowe samoloty mają zostać uziemione. Damaszk zaakceptował warunki porozumienia, ale droga do pokoju w Syrii jest jeszcze bardzo daleka.

Plan ma kilka słabych punktów: dziś mało kto wierzy, że tzw. umiarkowana opozycja, zjednoczona pod wspólnym sztandarem z ekstremistami w Aleppo, zerwie z nimi kontakty, zwłaszcza że niektóre islamskie ugrupowania niepowiązane z ISIS i Al-Kaidą już zapowiedziały, że nie będą respektować zawieszenia broni. W praktyce bardzo trudne może okazać się oznaczenie pozycji „złej” i „dobrej” opozycji, zwłaszcza w Aleppo czy Idlib, gdzie te grupy od lat się mieszają. Część bojowników może nie zaakceptować, by to mocarstwa dogadywały się ponad ich głowami. Zakładając nawet dobrą wolę samego Asada i to, że z krwawego dyktatora zamieni się w gołąbka pokoju, nie jest pewne, czy w pełni kontroluje wszystkie walczące w jego imieniu siły. Intensywne walki o zajęcie jak najlepszych pozycji, jakie toczyły się przed wejściem w życie porozumienia, również świadczą o tym, że w samej Syrii wiara w to, że nie podzieli ono losu poprzednich, jest słaba.

Wartość pielgrzymki

Ponad 1,8 mln pielgrzymów stawilo się na hadżdż, pielgrzymkę do **sanktuarium Al-Kaba w Mekce**. Termin pięciodniowej pielgrzymki przypada w ostatnim miesiącu kalendarza muzułmańskiego, w tym roku od 10 do 15 września. Hadżdż powinien odbyć każdy pobożny muzułmanin przynajmniej raz w życiu, o ile ma dość sił i może opłacić podróż i pobyt. Pielgrzymi wysupłują, w zależności od pokonywanej odległości i zamożności, od kilkuset do nawet kilkudziesięciu tysięcy dolarów.



Najświętsze miejsca islamu znajdują się w Arabii Saudyjskiej, w dobie nadal taniej ropy naftowej z trudem spinającej swój budżet. Co roku królestwo zarabia ok. 22 mld dol. na turystach religijnych, a biznes pielgrzymkowy, po ropie i gazie ziemnym, jest trzecim największym sektorem gospodarki. Mimo trudności – ze względu na fatalne stosunki Arabii Saudyjskiej z Iranem nie mogło przyjechać ok. 600 tys. Irańczyków – przed branżą rysują się podobno niezłe perspektywy, świat islamu staje się bardziej zamożny i pobożny. Już teraz sam hadżdż przynosi Arabii od 5 do 6 mld dol., mniej więcej tyle, ile FIFA ma przychodów z mistrzostw świata w piłce nożnej.

Z Trumpem się nie igra

Wizyta Trumpa w Meksyku podniosła jego notowania w kampanii prezydenckiej, ale zaszkodziła meksykańskiemu prezydentowi.



Prezydent Meksyku **Enrique Peña Nieto** musi się zmagać z wieloma problemami: coraz większą liczbą ofiar wojny domowej z kartelami narkotykowymi, kulejącą gospodarką, a ostatnio także dowodami na to, że splagiatował swoją pracę magisterską – ale nigdy jeszcze nie spotkał się z takim ogromem krytyki, jak po oficjalnym podjęciu Donalda Trumpa. Mimo że kandydat na prezydenta USA podczas swojej kampanii nazywa Meksykanów „gwalcicielami” i chce wybudować mur wzdłuż całej granicy obu państw, Peña Nieto z uśmiechem pozował z nim do zdjęć, a w rozmowie nie poruszał żadnego kontrowersyjnego tematu.

W pierwszym sondażu po tym spotkaniu wściekłość na swojego przywódcę wyraziło aż 9 na 10 ankietyowanych, lokalny internet zalała fala memów pokazujących obu polityków na plakatach filmu „Głupi i głupszy”, krytyczne komentarze pojawiły się we wszystkich krajowych mediach, a w proteście dymisję (nieprzyjętą) złożyła nawet minister spraw zagranicznych. Tymczasem Trump, choć podczas samej wizyty zamienił inwektywy na pochwały pod adresem gospodarzy, już po powrocie do domu zareagował w starym stylu i całe zamieszanie publicznie nazwał swoim triumfem, dodając, że „pokazał im, że z Ameryką się nie igra”.

Zamach na Duterte



Tuzin zabitych i kilkudziesięciu rannych – to efekt zamachu bombowego podczas wizyty prezydenta Filipin Rodriga Duterte w jego rodzinnym Davao. To największe miasto na wyspie Mindanao. Od lat 70. część mieszkającej tam muzułmańskiej ludności walczy zbrojnie o niepodległość regionu, a do ostatniego ataku już przyznała się Abu Sayyaf, najmniejsza i najbardziej radykal-

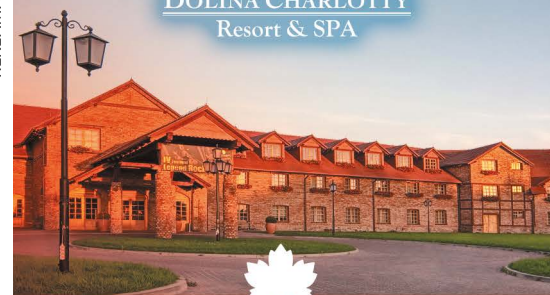
na z lokalnych grup partyzanckich, sprzymierzona z Państwem Islamskim. Duterte, który był burmistrzem Davao przez 22 lata, tuż po wybuchach ogłosił, że rozważy „rządzenie krajem za pomocą mundurowych”.

Kontrowersyjny polityk raczej nie rzuca słów na wiatr, bo od kiedy pod koniec czerwca został prezydentem całego kraju, za jego cichym przyzwoleniem policja dokonała już 2 tys. de facto ulicznych egzekucji na domniemych bandytach. Duterte odmówił spotkania się w tej sprawie z sekretarzem generalnym ONZ i zagroził wyjściem swojego państwa z szeregów tej organizacji, gdyby próbowano ograniczyć jego kampanię przeciw handlarzom narkotyków. Choć jeszcze w zeszłym tygodniu sam mógł poczuć, jak to jest, gdy z kolei spotkania z nim odmówił Barack Obama, wcześniej publicznie nazwany „sukinsynem” przez prezydenta Filipin. Ostatecznie obaj panowie widzieli się przez kilka minut, bo Duterte się zreflektował i postanowił w tej sytuacji przeprosić.

REKLAMA

© EAST NEWS


DOLINA CHARLOTTY
Resort & SPA



Powakacyjny relaks

w Dolinie Charlotty
Resort & SPA
Specjalna oferta na jesienne
pobyty nad morzem

Obiekt oferuje: zakwaterowanie w stylowo urządzonej pokojach hotelowych lub domkach na drzewach, Spa Bali Hai, strefa Wellness z basenem, saunami i salą fitness, Rock Pub z kregielnią, dwie restauracje, dwie sale zabaw dla dzieci, zwiedzanie Zoo i Fokarium, przejażdżki konne.



www.dolinacharlotty.pl

+48 59 847 43 00

KOD: reaktywacja?

Wyprowadzenie ludzi na ulice w proteście przeciwko porządkom nowej władzy było wielkim sukcesem KOD. Jednak zbudowanie trwałego, masowego ruchu opozycyjnego okazuje się trudniejsze. KOD znalazł się w przełomowym momencie.

ANNA DĄBROWSKA, MALWINA DZIEDZIC

Pod koniec czerwca Komitet Obrony Demokracji w Oświęcimiu podpisał bezterminową umowę na wynajem lokalu, w którym przez ostatnie osiem lat mieściło się biuro poselskie Beaty Szydło. – *Oczywiście nie wygoniliśmy z tego lokalu pani premier, ale mam nadzieję, że ta zmiana będzie symboliczna. Premier przeniosła swoje biuro poselskie w inne miejsce*

– mówi Tadeusz Kuś z oświęcimskiego KOD. Komitet też czeka przejście od symboli do działania.

KOD odwołuje się do etosu KOR, który właśnie obchodzi swoją 40. rocznicę powstania. Coraz częściej słychać jednak narzekania, że zbieżność nazwy i głoszenie „ogólnie słusznych” haseł to za mało. Ostatnio gorzki internetowy wpis na ten temat zamieścił Zbigniew Hołdys. Punktował w nim różnice między KOD a KOR – w tym przede wszystkim brak pracy u podstaw i ograniczanie się do organizacji manifestacji. „KOD był nadzieją wielu ludzi. Wędruje ulicami coraz mniejszymi grupami, niekiedy w niejasnym celu, dla samego protestu bez tytułu, ktoś przemawia na placach o konieczności obrony demokracji, chwilami wydaje się, że ruch KOD jest coraz bardziej wąty, a na pewno nie ma żadnej projekcji na przyszłość” – pisze Hołdys.

Zbuntowani

Działacze KOD są świadomi tego, że ich ruch wytraca prędkość. – *Na początku jest spontaniczny zryw, poruszenie, a potem albo to umiera, albo się przekształca w działania instytucjonalne. My się przekształcamy, obok ruchu powstają stowarzyszenie, think tank, media* – tłumaczy Mateusz Kijowski.

Struktury są niezbędne, aby od marszowych emocji przejść do działania. Kuba Karyś, producent i reżyser TV i filmowy, kieruje Komitetem w regionalnej twierdzy PiS na Podkarpaciu. – *Od kilku tygodni zajmujemy się formalizacją stowarzyszenia, choć są pewnie ważniejsze sprawy. Ale musimy sformalizować strukturę, by potem wspólnie podjąć ważne decyzje dotyczące przyszłości* – opowiada Karyś. Dodaje, że ma około 150 pełnoprawnych członków, a zeszłym tygodniu wysłał do Warszawy, do akceptacji zarządu, kolejne 30 deklaracji. Cały KOD skupia dziś ponad 6 tys. osób.

W porównaniu z tłumami przechodzącymi na manifestacje to niewiele.

Mateusz Kijowski zapewnia, że nie przekształci KOD w partię. Ale bez takich twardych struktur ciężko zdobywać nowych zwolenników.

W regionach kodowcy wybierają właśnie zarządy – jeden na województwo. Wybory są konieczne, bo od marca KOD jest stowarzyszeniem i musi określić, kto ma w organizacji władzę. W KOD mogą działać członkowie innych partii, ale do władz Komitetu kandydować im nie wolno.

Na razie struktury ukonstytuowały się na Pomorzu, Opolszczyźnie i w kujawsko-pomorskim. W pomorskim KOD szefostwo objął Radomir Szumelda, 44-letni biznesmen (ma modny klub w Sopocie, restaurację w Gdańsku), były członek PO. Jego pomorski oddział liczy na razie 614 osób. To podobno i tak sporo, bo są województwa, w których na razie zapisało się 150–200 członków (południowo-wschodnia Polska).

W przypadku Pomorza nie można powiedzieć, że blokadą był zapis statutowy, czyli wymóg rekomendacji dwóch członków stowarzyszenia, choć wiele osób skarży się, że to zbędne utrudnienie. Jednak Maja Augustynek, 35-letnia szefowa struktur gdyńskich, nie kryje, że u niej niespecjalnie przejmowali się tym obostrzeniem. Gdy ludzie z mniejszych miast pytali, skąd wziąć tych wprowadzających, to organizowali wyjazdy w teren i sami na miejscu wypisywali chętnym rekomendacje. Obwarowanie pojawiło się z obawy przed wrogim przejęciem. Teraz KOD zamierza z niego zrezygnować.

W wielu innych regionach brak doświadczenia w organizacji wyborów rzuca się w oczy i jest przyczyną konfliktów. Terminy są przesuwane, kampanie zawieszane, jedni kandydaci się wycofują, innym blokuje się możliwość kandydowania. Choć w większości regionów o formalną władzę zabiegają dotychczasowi, znani przecieź, tymczasowi koordynatorzy, to wielu kodowców oczekiwało lepszej prezentacji kandydatów niż streszczenie w formularzu: o mnie – 500 znaków, plan działania dla regionu na najbliższy rok – 800, region za trzy lata – 200, priorytety – 500 znaków.

Konflikty, mimo że w kampaniach wyborczych naturalne, stawiają w złym świetle organizację, która przyciąga do siebie także zniechęconych polityką w wersji partyjnej. A tymczasem powielane są znane mechanizmy. I tak: bydgoska liderka KOD, twarz zimowych protestów w tym mieście, niedawno zrezygnowała z funkcji oraz ze startu w wyborach. Oskarża liderkę z Torunia Aleksandrę Solecką o blokowanie jej inicjatyw. Na facebookowych grupach kujawsko-pomorskiego KOD wrze. Solecka wygrała wybory w ostatnią niedzielę.

Jeszcze bardziej napięta sytuacja jest na Dolnym Śląsku. Michał Korczak, który jako jeden z pierwszych stanął z tubą na wrocławskich marszach KOD, do dziś nie doczekał się przyjęcia do stowarzyszenia. Wysłał deklarację kilka tygodni temu, ale sprawa jego członkostwa trafiła do szuflady. – *To dość ordynarny sposób zablokowania Michała w wyborach, bo kto nie jest członkiem stowarzyszenia, w wyborach wystartować nie może* – mówi wrocławski działacz KOD. Dodaje, że wygląda to na zawieszenie z przyczyn politycznych. Korczak pytany, czym się naraził, mówi: – *Pewnie tym, że 12 marca zorganizowałem manifestację w obronie demokracji na 3,5 tys. uczestników we Wrocławiu, a centrali zależało na pokazie siły w czasie głównej manifestacji tego samego dnia w Warszawie. Wiem, że zdecydowana większość uczestników z pewnością nie mogła pojechać w tym dniu do stolicy.* Dodaje, że KOD ma szansę stanąć na nogi, ale nie może się centralizować. – *Dziś zarząd KOD idzie w kierunku wojskowej musztry, a ja chcę stawiać na inicjatywy oddolne, które KOD ma za zadanie wspierać. Uważam, że jeśli dajemy regionom możliwość wyboru swoich władz, to góra nie powinna w te wybory ingerować* – podkreśla.

Przed zakończeniem wyboru władz KOD jest wobec różnego rodzaju jutrzenki bezradny. – *Będziemy mieli sądy koleżeńskie i na poziomie regionu, i na poziomie kraju. Dzisiaj takiego instrumentu nie mamy. I jest to problem* – mówi Radomir Szumelda.

KOD wyrósł na dwóch silnych emocjach: niezgodzie na autorytarne praktyki PiS i rozczarowaniu tradycyjnymi partiami. Dziś

jednak ruch coraz bardziej się do nich upodabnia. Trochę jak PO, jest na etapie zajmowania się samym sobą. Mimo to równolegle dalej organizuje manifestacje, choć nie mają one już takiego rozmachu jak ubiegłoroczne protesty czy wielki marsz opozycji, który 7 maja przeszedł ulicami Warszawy. Kodowcy, jako przeciwwaga, pojawiają się tam, gdzie PiS organizuje swoje narodowo-katolickie eventy, albo – tak jak ostatnio podczas Kongresu Sędziów Polskich – tam, gdzie potrzebne jest wsparcie dla grup lub środowisk przeciwiających się działaniom władz. Wszystko to jednak wydaje się mało spektakularne i jakby na niższym szczeblu politycznej ligi.

Testem popularności KOD i zdolności ogniskowania społecznego oporu ma być marsz organizowany 24 września w Warszawie pod hasłem: „Jedna Polska – dość podziałów”. W rocznicę powstania korowskiego komitetu KOD przypomni wartości łączące obie organizacje, wystąpi w obronie niezawisłości sędziów, a także przeciwko zmianom w systemie oświaty. KOD dogrywa współpracę ze środowiskiem nauczycielskim. Kodowcy liczą, że uda im się również połączyć siły z przedstawicielami służby zdrowia, którzy także na 24 września zapowiadają dużą manifestację w stolicy. Na razie jednak na współpracę się nie zanosi, a obie manifestacje są zaplanowane na różne godziny. Organizatorzy z Porozumienia Zawodów Medycznych mówią nawet o 100 tys. uczestników. Taka demonstracja mogłaby skutecznie odciągnąć uwagę od marszu KOD.

Zaangażowani

Na marszu oprócz stronników skupionych w koalicji Wolność Równość Demokracja pojawiają się też politycy PO, jednak sama partia nie przyłączyła się do organizacji wydarzenia. Działacze Platformy oficjalnie zapewniają, że sympatyzują i wspierają KOD, jednak w mniej formalnych rozmowach można usłyszeć, że wolą grać na siebie, że muszą skupić się na odbudowywaniu zaufania do własnej formacji, a nie umacniać konkurencyjny twór. Cięży im doświadczenie wiosennego marszu, na który wyłożyli kilkaset tysięcy złotych (dla porównania KOD dołożył 30 tys. zł) i mocno zaangażowali się w jego organizację (wynajęli ponad 200 autokarów). Marsz okazał się sukcesem, ale na władze Platformy spadła krytyka, że próbowali partyjnić oddolny zryw. A sukces przypisywano głównie Mateuszowi Kijowskiemu. Tyle że bez tych partyjnych pieniędzy i struktur skala marszu byłaby nieporównywalnie mniejsza, o czym zresztą można było się przekonać kilka tygodni później, kiedy KOD organizował obchody 4 czerwca. Miał być marsz, skończyło się na manifestacji.

Dlatego teraz platformersi do propozycji bliższej współpracy z KOD podchodzą z dystansem. Mają pretekst. – *Mówimy, że mamy na głowie program, aferę w Warszawie i nie mamy czasu włączać się w organizację marszów* – opowiada jeden z członków władz PO. Platforma nie przystąpiła też do WRD. Ryszard Kalisz, który jakiś czas temu krytykował za to PO, dziś przyznaje: – *Niestety, politykę robi się w parlamencie i to doskonale wyczuła Platforma. Koalicja WRD, owszem, jest potrzebna, ale ma małe przełożenie zewnętrzne, nie budzi zainteresowania.* Stowarzyszenie Kalisza Dom Wszystkich Polska należy do WRD. Oprócz niego w strukturze są jeszcze m.in. SLD, Inicjatywa PL i Zieloni. Jest też PSL, choć – jak słyszymy – ludowcy tracą wiarę w sens takiej koalicji. – *W ramach WRD mamy 10 zadeklarowanych członków. 11. jest Nowoczesna, która sympatyzuje, uczestniczy regularnie w spotkaniach, ale ma dopiero podjąć na zarządzie formalną decyzję o dołączeniu* – mówi Kijowski.

Wygląda to tak, jakby Ryszard Petru zostawiał sobie furtkę na wypadek, gdyby okazało się, że Schetyna miał rację, mówiąc, że tego typu koalicje na ponad trzy lata przed wyborami nie mają sensu. – *Jesteśmy w WRD od samego początku, to tyle. Mateusz miał na myśli taką techniczną decyzję dotyczącą po- ▶*